№ 45.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 11. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

ZIMOWA NOC.

WSPOMNIENIE Z HAŁCZYŃCA

przez *M. C.*

Było to roku tysiąc ośmset dwudziestego osmego, czwartego Grudnia, śnieg był za kolana, wiatr mroźny dął od północy, a zawieja suchym śniegiem hulala w powietrzu, zdało się, że cała jazda djabła wsiadłszy na wichry rozharcowała się po nad ziemią; ani nieba, ani świata Bożego nie było widać; a my tylko cośmy z koni zsiedli. Byliśmy na polowaniu z chartami, dzień był szczęśliwy, uszczwaliśmy ośm zajęcy, trzech lisów i jednego wilka; stary Janek na całe gardło okrzykiwal rapsod myśliwski:

Tylko cośmy przejechali Tatarskie mogiły, kiedy ja spojrzę, popisano po śniegu, przypatrzył się wilk, a taki łapacz, jakiego nigdy na życiu nie widział, daléj ja kometować; przeszedł drogę od Żurbiniec, a brzuchem śnieg garnie, objadł się psiawiara, pomyślał ja sobie; daleko nie pójdzie, tutaj gdzieś zalegnie. Czapkę na harapnik wsadził i wzniósł do góry, i świstnął, tutaj panowie. W duch wszyscy przybiegli; nas było sześciu, a tylko trzy charty; płowy Dolot, ruda Błyska i siwopstrokaty Hulaj; prawda, że to były dobre pieski, ale to wszystko pan Topczewski winien; ja mówiłem, teraz wilki się włóczą, weźmy z dziesięcioro chartów; a on swoje; co tam tobie w głowie wilcy, nie bierzmy tylko trzy, na co ich u licha więcéj, żeby psuły zajęcze skórki, a potém Abramko i po złotemu nie zechce dać za skórkę; i nie wzięli tylko trzy charty, i ani spisy, ani kordelasa, ani strzelby, tylko z gołemi rękoma, bo cóż to na wilka harapnik, taj nożyk do obrzynania skoków. Ale już nie było rady, piwo przed nami nalane trzeba było wypić: ja do nich zagadał:

»Panowie, choć wy panowie, czortby wszystkie wilki rznął i zarznął, róbcie praworno, a tak jak ja każę, a będzie nasz wilk. Bodaj ja tak do domu zajechał i moje dzieci oglądał, bo inaczéj trzystaby djabłów piekło i zapiekło tego duszę, kto pokpi sprawę. Ja pojadę tropem, a wy zajeżdżajcie z daleka i patrzcie na mnie, a jak wilk się pomknie, to krzyczcie, a końmi tuż na niego; rękami, zębami łapcie, przysięgam Bogu nie ucieczе.«

Wjechaliśmy w Sołotwińskie brzeziny, idzie a idzie, a wszystko do Kodeńszczyzny, tam ma wagę; skręcił w lewo do hałego błota, harapnikiem skinąłem na panów, i oni obskoczyli błoto dokoła: wjechał ja w komycz, aż tu w śniegu przedemną leży, a taki wielki jak nazimek, ja krzyknął: »huź! a tu psiawiara, huź!« — schwycił się i popatrzył na mnie, ja koniem na niego.

Tu jego pieski — huź! huź!... hutiu, hejże, ha!

Strybnął, śniegiem pomiótł za sobą, charty za nim, a pan Jaś Dłuski na Kuczerawcu w oczy jemu sunął, i na kempinie z koniaką przewrócił koziołka, tylko śnieg się zakurzył; ja krzyczę: »Trzymaj za ogon!« Gdzie tam psiawiarę zatrzymać, jak sarna sadził, wyskoczył z błota, a charty za nim jak pijane przewracają się po kempinach. Ale tu pan Omieciński na Kicie, a pan na Kadecie, jak przypuścili, tak i drogę jemu przebiegli: huź! huź! i zbili go na nas z panem Topczewskim; a tutaj i Dmytro z chartami przybiegł i pan Dłuski za nim.

W duch Dolot jak palnął piersiami, tak wilk trzy razy młynka się przewrócił, a Błyska mu za

szarawary jak pijawka się uczepiła, i Hulaj do karku się przysuwa. My końmi tuż, tuż.

„Nu pieski pracujcie, pokażcie dzieło, tu jego, huź! huź!«

Dolot jak urznie drugi raz piersiami, tak wilk o ziemię; ale wnet się porwał i pod brzozą siadł, a wyzwierzył się na charty; oni jemu w oczy skaczą i szarpią: ja wtenczas do Dymitra:

»Synu z konia, taj na psiawiarę i za uszy jego« — a on chwacki chłopiec, zaskoczył koniem za brzozę, z konia taj na wilka i tak go schwycił za uszy, że aż mu palce wklęsły. Wilk szamocze się, zębami klamsa, karku powrócić nie może, a charty rwą. Ja z konia, taj nożykiem oczy psiawiarze powykłuwał, a potém smyczą na pętelkę szyję ścisnął i do brzozy przywiązał, a krzyknął:

„Puszczaj synu!«

Puścił; wilk targał się, panowie strzemiona z pośliskami podwiązywali, my z Dymitrem kije powyłamywali; jak wszyscy zaczęli cupić wilka, a charty rwać, tak i na śmierć uchodzili psiawiarę, aż czarno było na ziemi, tak zhasrowali pole, a kiedy wilka troczyli do konia, to aż koń stękał; pogrzebowe pili, a tak było gorąco jak w Lipcu: no chwała Panu Bogu, czort porwał psiawiarę.

O zającach i lisach ani gadał Janek. Dmytro się panoszył jak watażka kozaczy, kiedy do czapki dostanie czaple pióro, a drugi kozak Sak dąsał się, czemu jego w ten dzień nie wzięto na polowanie.

My w pokoju, gdzie przyniesiono owego wilka, i lisy i zające, opowiadaliśmy kobietom myśliwskie czyny, a jeden od drugiego wydziwiał dziwniejsze rzeczy. Ignacy służył do herbaty, lewą ręką wziął się w boki, na nasze gadanie głową kręcił, i pomrukiwał tak, że wszyscy słyszeli.

„Jużci to, to nieprawda.«

Ignacy byłto stary sługa mego ojca, mnie niańczył dziecięciem, jeździł ze mną do szkół, jemu wszystko było wolno robić i gadać, co mu się podobało.

Zaledwie zaczęliśmy pić herbatę, aż tu przyjechał gość po raz pierwszy widziany w Halczyńcu, był to pan sędzia Duszyński, już sześćdziesięcioletni mąż, z synem mającym dwadzieścia kilka lat. Zawieją zagnany do wioski, szukał gościnności, wnet ugościliśmy go herbatą, i myśliwskiém opowiadaniem.

Pan sędzia nie był myśliwym, ale chorował na lubowanie sztuk pięknych, i syna do tego układał. W pokoju było kilka obrazów: po herbacie sędzia zacząwszy o malarstwie, kazał synowi czytać podpisy obrazów, ponieważ sam przy świecy nie dowidział.

Syn wychowany w Romanowie u księży Jezuitów, zupełnie był wykształconym na kopyto téj młodzieży, co to w trzydziestym roku życia na rozesłanym dywanie brała boćkowskie napomnienie; któréjto na wyprawę z rodzicielskiego domu dawano półkopy bizunów i dukata do ręki. Wstał i poszedł spełniać rozkaz, jak student do tablicy.

Pod jednym było napisano: Prêtresse d'Apollon, przeczytał.

Stary zażył tabaki.

»Panny Teresy Apolog, to jest portret panny Teresy Morgulcownéj, znam; bardzo śliczna Panna, oczy podobniusienkie tylko twarz trochę pełniejsza; prawda że niedawno co powróciła z Drezna, a nasze Polki wszystkie za granicami chudną, widno niemiecki klimat im nie służy.«

Drugi obraz wystawiał, ślepego Belizara trzymającego Justyniana małego na ręku. Syn przeczytał: — Belizar.

Ojciec roztworzył oczy.

»Pan Olizar, Pan Podczaszy litewski, znam; ale kogoż to trzyma na ręku, czy Pana Narcyza, czy Pana Gustawa, przy świecy niedowidzam dobrze, poznać niemogę; ale Pan Podczaszy to tak zawsze się trzymał, trochę zgarbiony.«

Wtém dano do wieczerzy i zakończył się przegląd obrazów; przy stole Pan Sędzia, który był i jowialista, strasznie gromił spieszczanie kobiecych imion, Marianny na Marysię, a Mawilli na Mawilka: powiadając:

»Jakbyto było dobrze okrzykiwać przed światem, że jedna ma rysia, a druga ma wilka, i takiemi dzikiemi zwierzętami odstraszać od panien.«

Jowializm wcale nieprzeszkadzał Panu Sędziemu dobrze jeść, i jeszcze lepiéj pić. Widziano że oprócz malarstwa, był lubownikiem dobrego jadła, i dobrych trunków.

Po wieczerzy, Pan Sędzia usiadł przy kominku, a że rozmowa toczyła się o nowych wynalazkach i o polityce, sędzia szczęśliwie sobie usnął, a synaczek, który przez cały czas, oprócz czytania obrazowych podpisów, ani ust otworzył, przemówił nagle jak Jerozolimski rumak:

»Tatko teraz wygląda, jak bekas w oczerecie.«

I zamilkł, i myśmy wszyscy czas jakiś milczeli.

W tém ni stąd, ni z owąd zjawił się Xiądz Jacek, Bernadyn, Kwestarz z Cudnowa. Xiądz Jacek był nieoszacowany człowiek, mnich doskonały, świętobliwy, bogobojny; w cudze sprawy nigdy się nie mieszał, a swoich pilnował. Umiał stroić fortepiany, bo nim postąpił na kwestarza, był organistą, posiadał tajemnicę wygubienia pcheł i pluskiew, na-

maczania rozmaitych wódek, smażenia konfitur nawet, i tak daléj. Kobietom koszyki i kwiaty, dzieciom piernikowe koguty albo koniki ze złoconemi główkami przywoził w gościncu. Kiedy chimerzyły to straszył habitowemi ogórkami, a nigdy nieuderzył; a tak umiał, z wojakiem wojować, a myśliwym polować, a z próżniakiem grać w marjasza i butelczynę suszyć, że zawsze z każdéj kwesty, baranów, skopów, jałówek, ślepych koni, wieprzów, miodu, słoniny, wódki, zboża, hukiem nagromadzał dla klasztoru. Przytém nie zapomniał i o karbowańcach na cukier, kawę i korzenie do kuchennéj przyprawy. Księdza Jacka wszędzie lubiono i wszędzie z pożądaniem wyglądano.

Drzwi się otworzyły. — »Laudetur Jesus Christus.« — Myśmy odpowiedzieli: »In saecula saeculorum.« — On dodał: »Amen.« — I przeżegnał nas wszystkich.

Moja starsza siostra się odezwała: »Dobrze, że przyjechał ksiądz Jacek, te Michałowe Doloty to tak pcheł naniosły do przedpokoju, że nie wiem, jak je wygubić.«

»Zaraz, zaraz moja pani, my tu na to poradzimy, poszlemy do Sozańskiego po tłustość jeżową.«

Ksiądz wiedział o imionach i nazwiskach wszystkich sług, a szczególniéj szafarza i gumiennego; zabierał się do opowiadania całéj tajemnicy gubienia pcheł, kiedy druga moja siostra przerwała:

»Mój fortepian taki rozstrojony, chwała Bogu, że ksiądz Jacek przyjechał.«

»Jutro wystroję, tak, jak gdyby sam pan Czerny go stroił.«

Najmłodsza moja siostra także witała księdza Jacka.

»Księże Jacku, proszę mnie nauczyć, jak smażyć żurachwiny.»

«Natychmiast to zrobiemy, tylko niech Pan każe Pannie Annie uklarować syrop, i dać trochę spirytusu na spalenie nad żurachwinami, żeby zachowały kolor.»

Jan Dłuski z Topczewskim zapraszali księdza Jacka do marjasza. Omieciński chciał, żeby ksiądz Jacek opowiadał o marszałku Szaszkiewiczu z Biczowy, o którym ksiądz Jacek wiedział tysiąc, a tysiąc przedziwnych rzeczy.

Chciałem wybawić księdza z obrotów, i powiedziałem:

«Pozwólcie księdzu Jackowi, niech trochę wypocznie.»

Lepiéj się znalazł odemnie stary Ignacy, on wiedział, że ksiądz Jacek miał i brzuch i gardło, a lubił księdza Jacka, otworzył drzwi i przemówił:

«Do stołu dano dla księdza Jacka.»

Bernardyn wstał.

«Deo gratias, dziękuję Panu Ignacemu za pamięć, jak trochę podjem, to wszystko zrobię, co Państwo Dobrodziejstwo chcecie.»

Ignacy chociaż nie lubił dużo gadać, do księdza Jacka przemówił:

«Niech ksiądz bierze jeszcze, to dobre, a wieczerza krótka, będzie ksiądz Jacek głodny. Niech ksiądz pije wino, bo stare, na zimno dobre. — Wielka to była łaska Pana Ignacego.

Przez ten czas pan sędzia się przebudził, tabaki zażył, synaczek ani słowa nie pisnął. Ksiądz Jacek podjadł i podpił, i na piękną prośbę Omiecińskiego opowiadał nam o Szaszkiewiczu.

I.

«Pan marszałek to bardzo zacny człowiek, Boże mu daj zdrowie i wszystko pomyślne, opowiem Państwu Dobrodziejstwu, co się zemną stało.«

«Przyjechałem do Biczowy właśnie w czasie kosowicy, Bóg zapłać Dobrodziejom naszego zakonu, kwesta dobrze się udała, uzbierało się dosyć wiktuałów, bydełka, i kalétka była niepróżna. Pan marszałek mnie przyjął po swojemu, po staropolsku, po dobréj wieczerzy, zagraliśmy trochę w marjasza, potem, gadu, gadu, jeszcze jakiś czas pobałakaliśmy, nareszcie poszliśmy spać. Ja jeszcze długo odmawiałem pacierze, w końcu położyłem się do łóżka. Tylko com chrapnął pierwszym snem, aż tu słyszę okropny wrzask i krzyk.»

«Zrywam się; okna, drzwi wyłamują i jacyś ludzie wpadają do domu; żegnam się krzyżem świętym, przecieram oczy; ale nie, nie śpię; aż ci ludzie mnie porwali, bronię się, daremna rzecz, tak mnie wzięli w łapy, że o mało mi kości niepotrzaskali, zanieśli mnie do jadalnéj sali, i tam co widzę.... »

«Pan marszałek związany jak baran, nagi, a ci ludzie batami go biją, a krzyczą: dawaj pieniądze, pokaż gdzie pieniądze. Na swoje oczy widzę, jak nogi rządcy p. marszałka maczają w smalonym oleju; szafarzowi gwozdzie w uda zabijają; koniusze go za palce od rąk wieszają u sufitu; klucznicę w pięty smalą czerwonym żarem; stawniczego zabierają się jak konia zgrzebłować, a reszta służby powiązana. Dreszcz mi po za skurą przeszła: myślę sobie, to piekło i djabli; a ja tylko byłem w jednéj koszuli i szarawarkach płóciennych, ze szkaplerzem i rożańcem; jakoś mnie nie wiązali, tylko postawili koło otwartego okna.»

«Jak zaczęli zgrzebłować stawniczego, tak ten krzyknął! oj tam pod podłogą, w pańskim pokoju są pieniądze. Zbójcy wszyscy tam się rzucili, a pan marszałek do mnie: księże uciekaj i nam przynoś ratunek.»

«Ja niewiele myśląc, przez okno, nogi za pas i daléj; zbójcy się obejrzeli, za mną w pogoń, uciekam, ale widzę, że źle; skręciłem w sianożęć i jak zając przypadłem pod kempiną; słyszę jak chodzą koło mnie i szukają; zimno mi było i gorąco od strachu, ale ani mru mru, przypadłem kamieniem, i jak kamień milczałem. I dzień biały zeszedł, a ja jeszcze oczów bałem się otworzyć.»

«Aż tu słyszę gwar ludzi i brzęk kos, czach, czach, nie wiem skąd mi przyszło do głowy, że zbójcy użyli tego sposobu na wynalezienie mnie; pełzam osoką jakbym się do kaczek podkradał, jak wąż, a kosarze tuż, tuż i wszystko czach, czach; na nieszczęście koniec sianożęci, droga. Nie ma rady, zrywam się i daléj na drogę; kosarze w krzyk i za mną z kosami, ja ani oglądam się a uciekam. I tak wpadłem do Mszańca, prosto do dworu.»

«Pan Marszałek Borowicki mnie poznał, pyta się: księżę Jacku, co ci jest takiego?»

«Ja mówić nie mógłem, małom nie umarł, i po dobréj godzinie dopiero opowiedziałem całą rzecz. Pan Borowicki kazał zaprząść konie, zabrał z sobą kozaków dworskich i ludzi, i tak ruszyliśmy do Biczowy.»

«Przyjeżdżamy tam, pan marszałek Szaszkiewicz przeciw nam wychodzi, wita nas jakby nic nie było, ja go witam jakby z tamtego świata. On patrzy na mnie i dziwi się.»

«Księże Jacku, co ci jest takiego, jakżeś się przybrał? — Byłem ubrany w kubraku pana Borowickiego, podpasany pasem.»

«Obrócił się do Borowickiego. Cóż to sąsiedzie, czy zajazd na mnie zamyśliłeś zrobić?»

«Pan Borowicki opowiada, Szaszkiewicz rusza ramionami. Ksiądz Jacek albo lunatyk, albo zwarjował.»

«Ja mu gadam, przypominam, on na całą odpowiedź oprowadza mnie wszędzie; wszystko na swojém miejscu, nawet mój habit i kaléta, i łóżko ani tknięte. Rządca, klucznica, szafarz, stawniczy, cała służba, wszyscy się wypierają i powiadają, że nic a nic nie było. Myślę sobie, to skaranie Boże, jakaś choroba na mnie napadła. Modlę się, przypominam sobie, dobrze pamiętam, nogi mnie bolą, pełno pęcherzów na podeszwach od bosego biegania. — Co to znaczy? — Pan Szaszkiewicz wszystko powiada.»

«Eh dajmy pokój temu, księże Jacku, przyśniło ci się i wierzysz że to tak było. Uciekłeś, bo u stracha wielkie oczy, cóż dziwnego?»

«Obadwa śmieli się ze mnie, i ludzie się śmieli, ja o mało co nie zwarjowałem, w końcu uwierzyłem, że mnie się przyśniło i uciekłem.»

«Dopiero potem przyznał się pan Szaszkiewicz, że to były psoty, ot tak sobie dla śmiechu. Jego własni ludzie byli rozbójnicy, owe batogi to były ze słomy, i gorący olej, i żar, i ćwieczki i zgrzebłowanie wszystko to były psoty, a ja tego nie dojrzałem. Prawda, że u stracha wielkie oczy.»

Skończył ksiądz Jacek, a myśmy prosili, żeby nam jeszcze co o Szaszkiewiczu powiedział, a ksiądz Jacek dał się uprosić i mówił.

(Dokończenie nastąpi.)

Potęga muzyki.

(Ciąg dalszy.)

Nie ma w tém nic dziwnego, że kiedy się ród ludzki w młodzieńczéj porze wieku swojego wdziękami tonów nastrajał, że każde inne pokolenie, stósownie do usposobienia wewnętrznych uczuć swoich, innego tonu melodyami zabrzmiało; albowiem uczucia młodzieńcze są naturalnym wylewem serca, według nich człowiek działa, myśli i czuje, i jako w smutku wszystko mu rzewne, tak w radości wszystko wesołe. W późniejszych czasach, gdy już zmężniało plemie ludzkie, nie wybijało się w niém więcéj owo pierwotne nastrojenie duszy, co we wszystkich jego uczuciach odzywało się, jak głos syreny; wśród materyalnych i wojennych zabiegów, wśród szukania potęgi i wzrostu, jak mąż, co za zarobkiem i majątkiem goni, zapomniały narody nuty młodzieńczéj, owego idealnego uszczęśliwienia duszy, w którém im było tak błogo, tak miło, i już się ona nigdy w późniejszych pokoleniach echem nie odbiła, nawet w pamięci zatarła się.

Jak jeden interes włada dziś narodami, interes materyalny, tak jeden ton brzmi w harmonikach ich duszy. Muzyka już nie jest jéj ambrozyą, którą ludy żyły jak bogowie, ale upojeniem; uczuciem rozczynionėm w tęgość spirytualną, do zalania najdelikatniejszych nerwów. A jako inni, czém innėm się upajają, że jedni w winie, inni w opium smakują, tak jańczarska muzyka zachwyca Azyatów, dęte instrumenta górali, flet germańskie, lutnia sławiańskie plemiona. Ale i ten smak nie od chimery ludzkiéj zawisł; wypadł raczéj bezpośrednio z ogólnego narodu usposobienia, i tą stroną także

odpiętnował na zewnątrz typ takiego, a nie innego życia. Jak oku Muzułmanina trzeba było jaskrawych różnobarwych kolorów, językowi korzennych przypraw, tak słuch ich szeleszcząca pieściła muzyka, i zniewieściały ociężały rozkoszami różnego rodzaju w głuszącym gwarze instrumentów znajdował dla ucha swego potrzebny narkotyzm, jakim i inne zmysły swoje zadraśniał. Mieszkaniec gór wolném oddychający powietrzem, wolny i niezawisły, hyży strzelec, z łykièm lub bronią palną polotem goniący za jeleniem, nie oddał uczuć swoich fletem rzewliwym, ale trąbka myśliwska potężnym rozgłosem do duszy jego lubo przemawia, i do łowów, jak do boju zagrzewa. Przeciwnie pasterz za trzodami idący wtórzy bekowi macior i jagniąt, wdzięcznym tonem fujary, co tak dobrze do duszy jego spokojnéj i łagodnéj przystawa. Rólnik po ciężkiéj pracy w polu wypoczynku szuka, i polubił gęśl muskularnémi naciągnioną strunami, co jakby dla tego tak silnie na muskuły działa, i znużone dziwnym sposobem krzepi. Popatrzmy np. ile włościanie nasi naturalnéj do tego instrumentu mają zdatności, że nie oledwie w każdéj wiosce kilku znajdziesz skrzypków, co nie znając nót, wygrywają wszystko po słuchu. Nareszcie z używańszych i wydatniejszych instrumentów są jeszcze harfa i gitara. Harfa ma coś w pełnych akordach swoich poważnego i uroczystego, i dla tego najsposobniejsza do wydania religijnego uniesienia. Już Dawid król przygrywał na harfie, ilekroć z Syońskiego zamku, w uroczystych pochodach przy obnoszeniu przybytku pańskiego śpiewał chwałę Bogu. W późniejszych wiekach bardowie pogańskich ludów cześć bogom swoim przy harfach śpiewali, a brzmienia silne, uroczyste, wieszczém ich ożywiały na tchnieniem. Z sześciostrunu brzmią tony na pół ciche, jak niedomówione wyznanie miłości, łagodne i czułe, jak spojrzenia kochanki, drżące jak gwiazd wieczornych pomigi. Ztąd taka władza tego instrumentu na serce, gdy o wieczornéj dobie, wśród głębokiéj ciszy nocy bladem światłem księżyca oblanéj, najdelikatniejsze odcienia tonów, jakby duchów rozmowy dolatują uszu słuchacza. Ludy romantyczne, miłosne najwięcéj też polubiły lutnię.

Tak więc lud każdy i pokolenie każde nie tylko melodyom swoim pewny, cechujący nadało charakter, ale i stósowny do usposobienia swojego wybrało sobie instrument, i tym sposobem muzyka i uczucia wzajemnie oddziaływały na siebie; i jak sztuka każda w głębi kompozytora duszy brzmiąca i na instrumencie wydana, jest żywym i bezpośrednim wyrazem uczuć i jego indywidualnych i narodowych, tak nawzajem te same uczucia zażega w duszy słuchaczów; przenosi ich w magiczną krainę tonów, w któréj zapomina człowiek o życiu ziemskiém i materyalném, bo wszystko, co w tém życiu jest błogiego i świętego, w tonach się unosi, jakby w niepokalanych postaciach duchowych. Muzyka jest apoteozą człowieczeństwa, jest apoteozą narodowości ludów; i tém zupełném wyzwoleniem się ziemskiego pyłu, tą siłą czysto duchową, działa tak potężnie na człowieka, że temu działaniu oporu stawić nie potrafi. Jabky istota wyższa niebiańska porywa duszę słuchacza, i zostawiwszy ciało, unosi ją na wysokości niebios, gdzie według snu Scypiona, najwdzięczniejsza, ale śmiertelnikowi niedosłyszana, gra harmonia sfer.

Z dziewięciu nadobnych cór na Helikonie, co ludzi sztukami pięknémi udarzyły, jedna muzyka wzięła po nich samych nazwisko, jako ich najgodniejsza. Jedyna to z niebianek, co się w pośród śmiertelnych niepokalana zachowała. Między sztukami pięknemi wysokie ztąd muzyki uszlachetnienie, że nigdy skazić ani upośledníć się nie może. Z czemże człowiek nie obejdzie się po swojemu, gdy tylko zmyślności swojéj dogadza? Spotwarzył rzeczy najświętsze, spotwarzył i muzykę. Przy rozgłosie instrumentów, co jęki palących się ofiar głuszyły, przy śpiewie pieśni, chwale najwyższego śpiewanych, odbywało się autodafé w Hiszpanii. Jak niegdyś gladiatorowie do taktu muzyki nacierali na siebie i toczyli krew, raniąc się i zabijając ku widowisku zgromadzonemu ludowi, tak i dziś grzmi bęben, trąby do attaku dzwonią, i lecą na ten głos szeregi zbrojnych topić w się żelaza zabójcze, i rozbestwiają się w téj rzezi jak drapieżne zwierzęta. Pod rozgłosem muzyki spadały w Konstantynopolu głowy janczarów, i nie jednym mordom wtórzyła kapela. Zbytki i rozpusta najęły sobie Polyhymnią w służbę, wyprawiając przy niéj tańce lubieżne i bachanalie nocne. Atoli muzyka sama nigdy się nie upodliła. Natrafisz nieraz na portret lub posąg, na malowidło lub relief ze wstydliwości obrane, patrzysz się na mimikę gorszącą, na dramat niewinne obrażający uszy, czytasz nieraz poezyą na połechtywanie zmysłów obrachowaną; — i oburza się uczucie twoje, jeżeli nieskażone, że sztuka nadobna tak się wyraża, i grzesznėm świeci ciałem. Z muzyki tylko nigdy szata niewinności nie opadła. Pożądliwość, gniew, wściekłość i wszelkie namiętności cielesne nigdy nie odezwały się harmonią tonów, bo jakżeby nią dysharmonie duszy ozwać się mogły? To, co nas moralnie odpycha, co zraża uczucie nasze, jest to właśnie ów

dyssonans, co się w duszy naszéj krzykliwém wrażeniem ozywa i razi ją, jak rażą słuch tkliwy dyssonanse tonów. Disharmonia jest negacyą muzyki, i dla tego muzyka nigdy nią być nie może. A jeżeli w wyższych kompozycyach owe wykrzyki tonów, wyskakujące z całości płynącéj melodyi, jakby tryski z potoku wód spadających, nieraz z umysłu są użyte, ku zadraśnieniu ucha, to pochwytują je nazad i do harmonii wygładzają następne tony, i po lekkiém zadraśnieniu słuchu, tém przyjemniejsze tą wygładą na powtór sprawiają wrażenie.

Harmonia zatém, owa miła w skutku zgodność tonów, ów koncert myśli i uczuć muzycznych, działa dla tego tak błogo na duszę człowieka, namiętnościami targaną. Jak oliwa lana na rozhukane fale morza, uspokaja ich burzę i do równowagi pieniące się bałwany przyprowadza, tak muzyka leje w rozburzoną duszę słuchacza harmonią tonów i łagodzi i uspokaja umysł jego. Tak Dawid przygrywając na harfie rozbrajał zacięty gniew i melancholią Saula; tak Orfeusz na eolskiéj lutni wściekłość dzikich zwierząt poskromiał, tak grze Tyfonów przysłuchiwały się potwory morskie, tak Apollo wiódł dzikie narody do oświaty. Któż wreszcie z nas na sobie samym błogiego wpływu muzyki nie doznał? Ileżkroć posępne myśli, jak czarne chmury pogodnemi wiatrami grane, nie uciekały z duszy twojéj, gdyś albo sam siadł do instrumentu, albo kto inny pojrzawszy po tobie, odpowiednią stanowi duszy twojéj melodyą zanucił? Nie czułżeś, jak ton każdy sączył ci w zbolałą duszę na podobieństwo kropli balsamu ronionéj na ranę? jak coraz bardziéj i bardziéj tajała kra zgryzoty, co jakby kra lodu ziębiła duszę twoją? jak natomiast wycierała się pierś potęgą tonów zajęta, jak zrazu rozczulenie cię owladło, rzewna jakaś tęskność do lepszego świata ogarnęła; jak potem rozweseliło się w duszy twojéj, i czułeś się szczęśliwym w zgodzie ze sobą i ze światem; bo ten świat przemówił do ciebie potęgą tonów, owym czystym wyrazem duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Przez *W. A. Maciejowskiego.*

Zabawa z gościem w domu i za domem.

(Ciąg dalszy.)

f) Rozmowy przy stole i przy kieliszku.

Posilali się goście jadłem i napitkiem, którego im dostarczała gospodarstwa hojność. Starzy zasiadłszy do stołu weselili się, przypominając sobie dawne dworskie i żołnierskie przypadki: zastanawiając się nad tém, jacy to teraz ludzie, jakie czasy nastały; tymczasem młodzi narobiwszy kulek z chleba, strzelali niemi przez stół na panny. Jedni natopiwszy w piwo przysalanych grzanek, prawili o starych dziejach i ssali dzbanek zielony; drudzy kruż wina polewany piastując w ręku, obsyłali go w około. Ci mówili o sąsiedzie, który z cudzą żoną świeżo ujechał, nie wiedzieć gdzie, pewno na kraj świata: ci winszowali szczęścia sędziwemu tatusiowi, że w dzielnym odmłodniał synie, wsławionym sprawami rycerskiemi w świeżéj potrzebie ojczyzny. Insi prawili pocieszne dykteryjki.

Opowiadał każdy co lubił, stósując mowę do towarzystwa, w którém się znajdował, ażeby tłustemi wyrazami i wszeteczną gadką nie obrażał uszu niewiast, a młodzieży nie gorszył. Ów rozwodził się nad tém, jak za lat młodych uwodził białegłowy, ten jak niegdyś żył swawolnie na świecie. Kiedy pomiarkował, że mu współbankietnicy nic nie wierzą, przywoływał sługę swego, swawoli téj niegdyś spólnika, i jak gdyby zapomniał, pytał o to lub owo. A sługa nauczony wprzód co ma czynić, powtarzał ustawicznie: »Mościwy panie, tak, tak zgoła było.« Ten gadał o dziwach nowego świata (właśnie pod ówczas świeżo odkrywano w Ameryce kraje), gdzie ludzie pyski mają miasto twarzy, gdzie syn zjadał ojca ugotowawszy go sobie. Ów najadłszy się bardzo przy obiedzie, chciałby popuścić pasa, ale nie wiedział, jak sobie w tém poradzić, zwłaszcza, gdy na niego wszystkich zwrócone były oczy. Przyszła mu więc myśl frymarczyć na pasy z sąsiadem swoim. Ten ażeby lepiéj mógł obejrzeć rzecz idącą na frymark, żądał podawanemu na zamian pasowi przypatrzyć się bliżéj. A tak uchodząc wstydu dopiął celu obżartuch: odpiąwszy i obejrzawszy pas, opasywał się nim nanowo, nie chcąc dotrzeć frymarku.

Szydercy i prześladowcy duchowieństwa opowiadali sobie (z Erazma Roterdamczyka rzecz wziąwszy) o gospodarzu i drabie powracającym z wojny i opowiadającym, o ile on tam grzechów nabroił, i jak i za co mnisi mu je odpuścili. Prawił o pewnym opacie, dziwnie wyleczonym od szlachcica polskiego: o mnichu, który się dobrowolnie zrzekł zapisu, na jego własną prośbę świeżo uczynionego dla klasztoru. Powtórzmy te powieści:

Pewny opat stracił w sobie chęć do jadła, aż jechał do Cieplic (do wód). Spotkał go rycerz, a dowiedziawszy się, że ta podróż ma kosztować księdza do tysiąca złotych, obiecał naprawić mu żołądek na swym zamku za dwieście złotych. Zgodził

się na to opat i pojechał na zamek. Rycerz zamknął mnicha w komnacie sypialnéj, i nie dał mu nic jeść tego dnia. Przyszedł odwiedzić go rano i spytał się, jak jest. Bardzo mało lepiéj, ksiądz odpowie. A na to rycerz: będzie lepiéj, i znowu nie dał mu jeść przez cały dzień. Nazajutrz znowu zapytany ksiądz o zdrowie, powiedział, że mu się jeść zachciewa. Trzeciego dnia już rycerz nie odwiedził opata, ale ten wystawiwszy łeb z komnaty, wołać począł: »przebóg, dajcie jeść!« Przyszedł pan zamku, i rzekł mu na to: »otoż widzisz, że u mnie lepsze lekarstwo, niż w Cieplicach. Dajże dwieście złotych, a z resztą do domu jedź.« Rad nie rad musiał prałat dotrzymać słowa.

Mnich przyszedł do człeka na śmiertelnéj pościeli leżącego, który już w mowie szwankował, i co kto rzekł, tak jest gadał. Pytał go mnich: »wszak ty naszéj braci legujesz tysiąc, tudzież na dzwony sto grzywien odkazujesz, a na odbudowanie kościoła dajesz pięć tysięcy. Chory odpowiadał na wszystko »tak jest.« Syn starszy, który przykro tego słuchał, i widział, że tu nie żarty, zwłaszcza, gdy piszący testament urzędnik każdą odpowiedź chorego zaraz wpisywał w testament, a to na rozkaz mnicha; to mając na uwadze ów syn, zapytał się ojca: »nie prawdaż ojcze, że mam tego mnicha wyrzucić oknem?« Ojciec odpowiedział: »tak jest.« Wnet syn kazał i to w testament wpisać, a sam powlókł mnicha do okna. Przestraszony rzekł wtedy: »puść mię, a ja się zrzekam wszystkiego.« — »I ja też nie myślę ci żadnéj krzywdy uczynić,« odparł młodzieniec i przeprosił księdza.

Na Ukrainie wieszano niejakiego Hawryłę, greckiéj religii. Kiedy już stanął na ostatnim szczeblu, urzędnik, który sam tylko w onéj gromadzie ludzi był katolikiem rzymskim, począł złoczyńcę upominać, ażeby porzuciwszy odszczepieństwo ruskie, przystał do wiary katolickiéj, bez któréj nie może być zbawion. Hawryło zawołał na popa i rzekł: »Bajteńku, czy słyszysz, co mi pan radzi?« A pop, respektując na urzędnika, odpowie: »Hawryło! Hawryło! Pan dobrze mówi, aleś ty człowiek prosty, a wiara lacka wiara uczona, wysoka. Ty swoję opuścisz, a lackiéj nie dosiężesz: to ni ty Lach, ni ty Rusin.«

Z prawników żartowano, podając im do rozwiązania zawiłą sprawę o koniu, wilku i kozie. »Kozy pastucha pasły się raz na opoce, pod którą były konie drugiego sąsiada. Napadł na nie wilk i chciał je pożrzeć. Jedna koza włożyła mu rogi w rozdziawioną paszczękę, a mordując się z wilkiem spadła z nim na dół, gdzie stały konie, i przypadkiem wpadła na grzbiet koński. Zląkł się rumak, a unosząc obadwa te zwierzęta na sobie, przypadł do stajni pana swojego. Ten zdumiał się nie mało, gdy ujrzał z jednéj poły końskiéj rogami kozy splątanego wilka, a z drugiéj poły zawieszoną kozę. Ucieszony tą zdobyczą odplątał zapaśników, wilka zabił i schował sobie skórę, kozę policzył do swéj trzody. Lecz w tém nadchodzi pastuch, upominając się już nietylko o kozę, ale i o skórę wilczą, gdyż drapieżca żywcem ujęty został przez bydlę jego.« Skończywszy żartowniś opowiadanie, zapytywał prawnika: Quaeritur komu się ma wilk dostać de jure? gdyż o kozę wątpliwość żadna nie zachodzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Powiastka o królestwie Eldorado. — Wielu jest jeszcze dzisiaj, co rozprawia o Eldorado i utrzymuje, że to wyspa na jedném z jezior Ameryki. Początek téj powiastki wyjaśnia się z listu Hiszpana Ferdynanda Owiego, pisanego w roku 1543. do Kardynała Bembo, w którym mówi o odkryciu Maronhoy przez sławnego Orellana, jak następuje: «Nie tylko w téj okolicy chciał Gonzalez Pizarro szukać cynamonu, ale jeszcze ujrzeć potężnego księcia tego kraju zwanego El Dorado (ozłocony), o którym wiele dziwnych rzeczy powiadają. Między innemi, że chodzi w kurzawie złotéj i uważa złote tkaniny i płyty za zbyt pospolity ubiór. Dla tego każe się po całém ciele pudrować złotym proszkiem, która moda tém jest kosztowniejszą, iż co wieczór kąpie się El Dorado, a na dzień świeżym pudruje się złotem. Ten ubiór jest najwygodniejszym ze wszystkich. Ztąd co rano każe swe ciało nacierać pachnącą gummą, i natychmiast ją posypywać proszkiem złotym, tak iż JKMość od głowy do stóp nim jest osuty i podobny do posągu wyrobionego przez zręcznego złotnika. Dla tego też wnoszą, że kraj tego króla posiadać musi ogromne kopalnie złota, i to jest ów złoty król, za którym nasi gonią awanturnicy.

Zgadzanie się uderzeń tętna (pulsu) z godzinami. Wielu zapewne czytelników nie wie, że uderzenia tętna zgadzają się z godziną dnia i to w sposób bardzo pojedyńczy. Siadłszy do stołu i oparłszy łokieć ręki na nim, trzyma się w dwóch pierwszych palcach za nić, u któréj uwiązano wprzód guzik metalowy za uszko lub pierścionek i tak wpuszcza w szklankę w sam środek.

Przez bicie tętna guzik na nitce zacznie się ruszać jak wahadło u zegara, a ruch ten tak się powiększy, iż guzik lub pierścionek uderzy o szklankę. Przypuściwszy, iż robimy doświadczenie po siódméj godzinie, natenczas guzik uderzy siedm razy w szklankę, potém kołysanie zacznie ustawać. Trzymając nić dosyć długo, doświadczenie to powtórzy się po upływie niejakiego czasu. Nić zaś trzymać mocno należy, by tętno dostateczny wpływ wywierało na ruch wahadła. Doświadczać można w dzień i w nocy, skutek będzie jednaki.

MODY. — Paryż, dnia 4. Listopada 1840. Za najstósowniejszy ubiór od rana, uważają teraz szlafroczki z ciemnego merynosu, podbite szkocką lub francuzką kitajką. Robią je też z pięknéj flaneli przerabianéj lub z alpagi brunatnéj, podszytéj różowym lub niebieskim jedwabiem. Osadzone zaś są brunatnym lub białym aksamitem u rękawów obszernych i wielkich peleryn.

Mnóstwo jest jeszcze prócz tych wymienionych, których używają na ranne ubiory, i tak np. wyrabianych z kaszemiru bladoniebieskiego, podbitych białym atłasem przesztepowanym, ozdobionych sznurami i bramowaniem, lub z aksamitu futrem, z atłasu koronkami zdobnych i t. d.

Ubiory na przechadzki pomnażają się w nieskończoność. W téj chwili szczególniéj odznaczają się indyjskie kaszemiry.

Od drugiéj do szóstéj godz. po południu najwięcéj ukazuje się dam w szlafroczkach przerabianych w pasy, kratkę lub łańcuszki albo też w drobne wzory. Te nazywają ubiorem fantazyjnym. Nie są drogie i osadzają je trzema rzędami guzików na powłoce i na staniku. Skoro rękawy są gładkie i obcisłe, natenczas zapinają się na guziczki aż do łokcia i mają u dołu szerokie wyłogi. Staniki zawsze są prawie gładkie ze sznypką, jako też z przepaską z sznuru lub wstążki zawiązanéj, szpinek używają tylko do negliżów.

Na te szlafroczki biorą damy na przechadzkę płaszczyki z czarnego atłasu, podszyte w liljowym kolorze, lub burnusy z szarego merynosu, pąsowo podbite i pąsowo bramowane.

Ubiory domowe najwięcéj są wyrabiane z grodenaplu, z afrykańskiego rypsu; jednokolorowéj lewantyny, ze szpencerkiem tegoż koloru i stanikiem gładkim. Mankietki przytém bardzo szerokie.

Na wieczory krótkie ponajwiększéj części rękawki, mankietki z czarnych lub białych koronek, stósują się zawsze do chusteczek, które też i z muślinu wyrabiają.

Długie szale aksamitne są nieoszacowane dla tych dam, które na zimno nie są wytrzymałe. Kapelusze z perłowego aksamitu najczęściéj zdobią kwiatami lub piórami tegoż koloru co aksamit. Kapelusze z słomistego, różowego lub białego atłasu, z słaniającemi się piórami marabutowemi, strojniejsze są niż kapelusze aksamitne.

Zegarki, o których zapomniano w toaletach i noszono raczéj dla użytku niż elegancyi, napowtór zjawiły się.

Rękawiczki, jako też peleryny młodych panienak osadzają łabędzikiem.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór męzki na rano. Króciuteńki surducik z tkaniny prążkowatéj, z połami okrągłemi, osadzony sznurami i kutusami. Pantalony w kratkę, szal żółty, czapeczka aksamitna złotem haftowana.
2. Kapelusz aksamitny z pólzasłonką. Suknia jedwabna. Kaftan kaszemirowy podbity jedwabiem, osadzony frędzlą i kutasikami.
3. Kapelusz z białego atłasu z girlandą kwiatów. Suknia i kaftan jak u 2.
4. Czepeczek koronkowy, kwiatem zdobny, do tego loki wężykowate. Suknia atłasowa z wierzchnią tulową czarną. Stanik ściągany i bertą zdobny. Rękawy obszerne, półdługie. Rękawiczki łabędzikiem osadzone.

OŚWIADCZENIE.

Z upływającym rokiem ma zaszczyt wezwać redakcya szanownych Prenumeratorów, którzy zalegli z zapłatą za Dziennik domowy, aby raczyli prenumeratę tę najdaléj do dn. 1. Grudnia r. b. do bióra rzeczonéj redakcyi przy ulicy Sto-Marcińskiéj Nr. 78. w Poznaniu, we frankowanych listach nadesłać, inaczéj byłaby znagloną do ściągnienia zaległości sposobem zaliczenia ze strony poczty (postforszusu), połączonego ze znacznemi kosztami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Bruonner, sc.

45